Rok 1898. Lwów, dnia 24. października. Nr. 42.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

FR. ZWILKOŃSKI.

LAMPA ZGASŁA

Obraz dramatyczny.

Dość duży pokój o dwóch oknach. Na lewo drzwi wychodzące do sieni. Okna z prawej strony, z których jedno jest otwarte. W pobliżu stoi szary, wiekiem nadszarpany fotel. W głębi szafa i mały kredens. Biurko przy zamkniętem oknie. Na środku stół, zarzucony książkami i szpargałami; karafka, szklanki, puszka, lampa. W całym pokoju nieład i zaniedbanie. Pod piecem samowar. Umywalnia opodal, szaragi, na których wiszą ręczniki. Między szafą a kredensem łóżko rozebrane, obok, na krześle, leży ubranie. Przez górną część pierwszego okna wpadają promienie zachodzącego słońca. Pokój robi wrażenie ponure i smutne.

JAN postawił klatkę z kanarkami na stole, otwiera drzwiczki, wyjmuje naczyńka na wodę i na ziemię, wyciera je i czyści fartuchem. WÓJCICKI w szlafroku, chudy, twarz mizerna, włosy pomierzwione. Drżący z osłabienia, wspiera się na lasce. Do kanarków pieszczotliwie:

Cip, cip, moje ptaszki... Jestem jeszcze bardzo, bardzo osłabiony... ale gdy mi będzie lepiej, będę o was pamiętał... (za ptaszków świergotem): A tak... tak... Cip, cip. (Kaszel nim wstrząsa).

JAN (spojrzał na niego z ukosa, idąc po karafkę). Albo ja o nich nie pamiętam?

WÓJCICKI (wkładając palec między druty). Zapomnieliście dać im wody z rana. (Do kanarków) Cip... cip.

JAN (nalewając wody do naczyńka). Nie zapomniałem, jeno miałem inne rzeczy na głowie... (odstawia karafkę, naczyńko z wodą wsuwa do klatki, potem napełnia drugie naczyńko siemieniem).

WÓJCICKI. A piasek jest?

JAN. (pokazując na podłogę). A — o, w szmacie leży!... (Wsuwa do klatki naczynie z siemieniem).

WÓJCICKI. A suchy?

JAN. Jak pieprz... (podnosząc szmatę z piaskiem z ziemi i rozwiązując ją na stole). Przez cały dzień wygrzewał się na słonku... (podsuwając mu szmatę z piaskiem) Niech się pan przekona...

WÓJCICKI (dotyka ręką piasku).

JAN. No, nie?

WÓJCICKI. Wilgotny.

JAN (przysuwając do siebie). To się panu zdaje!..., (wyjmuje szufladkę klatki i czyszcząc ją na swój sposób mówi): Przed rokiem, kiedy mi żona tak bardzo chorowała, to potem, kiedy co wzięła do ręki, to było mokre... Doktór powiedział, że to źle .. I akurat było źle, bo coś w niespełna dwa tygodnie umarła.

WÓJCICKI (z przygnębieniem). Umarła!

JAN (obojętnie) A tać, umarła... (sypie piasek do szuflady). Co mnie to kosztowało!... A doktór!... a apteka!... a pogrzeb!... (wsuwając szufladkę do klatki) Het, ze wszystkiem poszło, co się „uszparowało“... (bierze klatkę i chce ją zawiesić nad oknem).

WÓJCICKI. Czekajcie!... Damy im jeszcze kawałeczek cukru.

JAN. Przezemnie... (stawia klatkę na stole).

WÓJCICKI (szukając po pokoju) A gdzie cukier?

JAN. A gdziesik tu leżał... Czy nie na biurku? (szuka na biurku). Albo na szafie?... (szuka na szafie). A może spadł z szafy? (szukając dokoła szafy). Żebym sam wczoraj nie przyniósł pól kila, to bym se myślał...

WÓJCICKI (pokazując laską pod stołem). Tu leży jakiś pakiecik.

JAN. Gdzie?... (ze śmiechem) Wlazł aż pod stół, to ci dopiero!... (wyjmując z pakietu trzy kawałki) Akurat ten sam.

WÓJCICKI (z niezadowoleniem) Tylko trzy kawałki!...

JAN (z uśmiechem niewiniątka). A jeno... (podaje mu kawałek, który Wójcicki daje kanarkom). Sam nie wiem... To prawda, że pan pił z herbatą, a do limoniady poszło też sporo kawałków, cosik kanarki zjadły — to chyba myszy zjadły resztę.

WÓJCICKI. Gdzież się podziała łapka?

JAN. Łapka? (drapiąc się w głowę) Wiem, że była, ale gdzie teraz? (patrzy na prawo i na lewo).

WÓJCICKI (z wyrzutem) Łapka zaginęła — myszy mi cukier zjadają... mój Janie.

JAN (patrząc mu w oczy bezczelnie) Może se pan myśli, co Jan?...

WÓJCICKI. Nic sobie nie myślę mój Janie... (siadając w fotel, kaszle).

JAN (przystępuje do niego). Bo jeżeli pan se myśli, że ukradłem połowę — jak Boga kocham!... niech mnie tu zaraz krew zaleje!

WÓJCICKI (zmęczonym głosem). Przestańcie.

JAN (odchodząc do stołu). Pan se myśli — to niech pan szuka inszego!... (bierze klatkę do ręki). Mnie jeszcze stać na kilo cukru, a niepotrzeba mi kraść.

WÓJCICKI. Dajcie pokój Janie... Przecież widzicie, jaki jestem jeszcze osłabiony.

JAN (wszedłszy na krzesło, zajęty wieszaniem klatki): E!... nic tam panu nie będzie... Jak pan był taki bardzo słaby, to pan zapowiadał, co pan zemrze... i tak się nazywało, co po pańskim pogrzebie będę mógł wziąć se surdut, a spodnie, a łóżko, a pościel...

WÓJCICKI (z bolem). Przestańcież, Janie! (z tęsknotą patrzy przez okno).

JAN (schodząc z krzesła). Co mi z tego wszystkiego?... (ścierając fartuchem stół). Za kilka dni będzie pan zdrów, że aż ha!

WÓJCICKI. Daj Boże! (patrząc przez okno) Janie!

JAN. Co? (zbliża się do niego).

WÓJCICKI (pokazując laską). Czy to pani Łanowska stoi tam na galerji?

JAN (patrząc przez okno). Nie, to insza lokatorka. Widziałem przed godziną panią Łanowską, jak szła do miasta... (odchodzi od okna, porając się po pokoju). A, daj Boże panu zdrowie! Ja tam panu nie życzę śmierci. Ale co jest prawda, to jest prawda, że się więcy nachodziłem koło pana przez ten miesiąc, jak koło inszych panów bez cały rok.

WÓJCICKI. Weźcie sobie ten surdut, co go nosiłem przez zimę.

JAN (z nietajoną radością). Ten popielaty?

WÓJCICKI. Ten... (patrzy przez okno).

JAN. A dobrze... (wyjmuje z szafy czarny surdut).

WÓJCICKI (j. w. z żalem do siebie). Pani Łanowska zapewne dziś nie przyjdzie...

JAN (z daleka pokazując surdut). Ten?

WÓJCICKI To anglez!.. W szafie jest drugi, popielaty, zimowy.

JAN. A, popielaty, zimowy... już wiem!.. (wyjmuje popielaty). Pan se myśli ten (pokazując) z tymi świcącymi łokciami!.. (pokazując) O, kołnierz, całkiem zasmarowany... W rękawach podszewka potargana...

WÓJCICKI. Nie taki zły przecież!

JAN (zarzucając surdut na ramię). Handeles nie dałby za niego pięć szóstek... Możeby dał trzy szóstki abo dwie.

WÓJCICKI (powstając z gniewem). Nie dostaliście pięć reńskich więcej, jak się wam należało?

JAN. Za moją ciężką pracę, jużcić, że dostałem!

WÓJCICKI. Co chcecie więcej? (kaszle).

JAN. A czy ja co mówię?!..

WÓJCICKI. A więc!..

JAN (pokazując palcem w okno). O, pani Łanowska...

WÓJCICKI. (z ożywieniem). A, pani Łanowska! (staje w otwartem oknie i kłania się) Moje uszanowanie, pani... Moje uszanowanie...

ŁANOWSKA (staje w oknie, w kapeluszu, w zarzutce, z parasolką w ręku). Jak się pan ma?.. Co, dziś znowu na nogach?

WÓJCICKI. Na nogach, łaskawa pani... Obrzydło mi leżenie... Dziś się czuję znacznie lepiej... Straszna choroba ta influenza... A może pani dobrodziejka raczy odwiedzić rekonwalescenta?

ŁANOWSKA. A dobrze... (odchodzi od okna. Słychać donośny krzyk bawiących się dzieci w dziedzińcu).

WÓJCICKI (odwrócony do pokoju). Jak te dzieciaki przeraźliwie krzyczą!..

JAN (z uśmiechem). A co mają robić... Trza panu jeszcze co?

WÓJCICKI. Samowar nastawcie.

JAN. E... jeszcze czas!.. Dopiero siódma!.. (słychać szmer za drzwiami).

WÓJCICKI (gorączkowo). Otwórzcie no prędko drzwi... Pani Łanowska, a tu taki nieporządek...

JAN (otwierając drzwi, do wchodzącej): Całuję rączki... (wychodzi).

ŁANOWSKA (wchodząc). No jakże? (podaje Wójcickiemu rękę) Lepiej, czy gorzej?

WÓJCICKI (pocałowawszy ją w rękę). Lepiej niż wczoraj, ale jeszcze źle. (Z uśmiechem). Przepraszam, że tak panią przyjmuję... (daje do zrozumienia, że przyjmuje w szlafroku).

ŁANOWSKA. Ale!.. Co za ceremonje ze mną!.. I cóż, brał pan dziś lekarstwo?

WÓJCICKI. A brałem...

ŁANOWSKA. Dziś wygląda pan lepiej.

WÓJCICKI (z ożywieniem). Prawda, pani?

ŁANOWSKA. Znacznie lepiej!.. Niechże pan siada... Czemu pan stoi?!

WÓJCICKI. Dziękuję pani, rad trochę postoję, dość się wyleżałem... Prawda, że nogi jeszcze drżą pode mną.

ŁANOWSKA. Po takiej chorobie!... (rozglądając się po pokoju). Co za nieporządek!.. (Odłożywszy parasolkę, stawia szklanki i karafkę, puszkę na kredensie, podnosi z ziemi papiery, na biurku układa książki).

WÓJCICKI (ze wzruszeniem): Dobra, zacna, kochana pani Łanowska! Gdyby nie pani, byłbym wśród tego nieporządku zginął jak ta ruda mysz!.. Daję pani słowo, ten Jan, to straszny człowiek.

ŁANOWSKA. Cóż znowu zrobił?!

WÓJCICKI. A no, ma do mnie żal za to, że nie umarłem... (siada)

ŁANOWSKA. A to gałgan jeden!.. (stając przed Wójcickim) Czemu go pan nie napędzi?!

WÓJCICKI. A kogo wezmę?!

ŁANOWSKA. Kogo?.. (po chwili namysłu). Od pierwszego mogłaby moja służąca...

WÓJCICKI, Jaka pani dobra!.. (całuje ją w rekę).

ŁANOWSKA (usuwając rękę). No, no!.. to już tak będzie... Od pierwszego będzie panu usługiwała Marysia.

WÓJCICKI. Dziękuję pani... (z westchnieniem) Tak to, kiedy się jest starym kawalerem!

ŁANOWSKA (sprzątając, jak wyżej). Czemu się pan nie ożenił?

WÓJCICKI. Czy ja wiem czemu?.. Raz się kochałem... W pannie Wąlerce... Ładna była — ale...

ŁANOWSKA. Pewnie nie miała posagu?

WÓJCICKI. Ani centa.

ŁANOWSKA. I sponiewierał pan życie dla jakiegoś widzimisię.

WÓJCICKI. A tak, sponiewierałem!... (wzdycha).

ŁANOWSKA (siadając naprzeciw). Ile pan ma lat teraz?

WÓJCICKI. Czterdzieści ośm, pani.

ŁANOWSKA. To pan nie jest jeszcze taki stary.

WÓJCICKI (z uśmiechem). Prawda, że nie!

ŁANOWSKA. Wprawdzie choroba pana trochę wyniszczyła...

WÓJCICKI. O, przed chorobą mówili mi znajomi, że wyglądam na lat trzydzieści.

ŁANOWSKA. Sama to mówiłam!

WÓJCICKI (wstając). Jaka pani dobra! (całuje ją w rękę).

ŁANOWSKA (stając zalotnie). Tak prawdę powiedziawszy. to mógłby się pan jeszcze teraz ożenić.

WÓJCICKI (z niedowierzaniem). Co też pani mówi?

ŁANOWSKA. Na serjo!

WÓJCICKI. Pani ze mnie żartuje!

ŁANOWSKA. Wcale nie żartuję.

WÓJCICKI. A gdzieby mnie tam która chciała!

ŁANOWSKA (j. w.) Ej!...

WÓJCICKI (z wzrastającą nadzieją). Doprawdy!?...

ŁANOWSKA. Znam taką jedną ..

WÓJCICKI (upuszcza laskę i chwytając ją za rękę ze wzruszeniem). Pani droga!... Czy podobna?! Czy możliwe?! Jest taka jedna, któraby chciała wyjść za mnie?

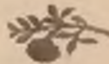
ŁANOWSKA, Mówię panu, że jest.

WÓJCICKI. Pani droga!... Z panią wschodzi mi nowa gwiazda! (całuje jej rękę).

ŁANOWSKA (usuwając rękę). Tylko — niech pan przypadkiem nie myśli, że to ja jestem tą, która się chce za pana wydać!

WÓJCICKI (nieśmiało). A broń Boże, chociaż...

(Ciąg dalszy nastąpi).



KILKA SŁÓW O „MODELACH.“

— Łaskawy panie — pytano pewnego rzeźbiarza, znającego się na rzeźbie i na wdziękach niewieścich — gdziebyś szukał modelu wzorowego piękności kobiecej?

Rzeźbiarz zamyślił się i lekko ruszył ramionami. Odpowiedź snać nie była łatwa.

— Model wzorowy? *Quod capita, tot sensus*... Różne bywają wzory: wzór egipski, wzór grecki, wzór Leonarda da Vinci, wzór Canowy. Leonard da Vinci twierdził, iż ciało wzorowo zbudowane powinno mieć długość ośmiu głów, Canowa dodawał jeszcze do tego długość jednej głowy. Zresztą są formy uprzywilejowane w danej epoce, formy uprzywilejowane w danym kraju...

W ogóle błędnem byłoby szukanie w tym lub owym kraju typu piękności idealnej, która zawsze i wszędzie bywa wyjątkiem, nie zaś regułą. Nawet Warszawiak, oddający zbyt wymownie wyższość Warszawiankom, będzie tylko komplemencistą, którego zdania teoretyk estetyki nie będzie brał w rachubę.

Wiadomo, że o „ładny“ model łatwo w Paryżu, ale trudno o „piękny“; paryżanka bowiem jest nieco krótka w nogach a długa w biuście (*vide* portrety z epoki odrodzenia i z czasów Ludwika XIV). Są to dla rzeźbiarza wady, hojnie okupywane przez wdzięk ogólny.

Niektórzy rzeźbiarze i malarze dawali pierwszeństwo modelom flamandzkim. Ale i tu panuje pewna monotonja. Spojrzyjcie na portrety Rubensa, a ujrzycie, że wszystkie malowane piękności są zbyt otyłe. To też nadawały się do pendzla artysty wyjątkowo Marja Medicis i Anna austrjacka, jako osoby silnie korpulentne. Zresztą wszystkie modele flamandzkie mają przeważnie czoło wielkie, jak to było przyjęte i uważane za piękne na portretach średniowiecznych. Rzeźbiarze francuscy twierdzą, iż kobieta amerykańska, zwłaszcza ze sfer bardzo zamożnych, przedstawia model idealny; malarze zaś mniemają, iż o wzór piękności idealnej najłatwiej we Wiedniu. Wszystkie modele fotograficzne przychodzą z Wiednia. Jeden z rzeźbiarzy włoskich, zapytywany o zdanie przez autora niniejszej notatki, odpowiedział: „Znam tylko jeden skład cudnych modelów: to Syrakuzy i wyspa Sora, w pobliżu góry Cassin“. Niektórzy malarze pierwszeństwo dają arlezjankom, inni zaś Rzymiankom transtewerankom.

Wspomnieliśmy o modzie w piękności. Niestety, rzekłby czciciel prawdziwego piękna, moda wywiera na formy ciała wpływ poważny, choćby przez narzucanie tych lub owych form odzieży, wpływających niekiedy na formę ciała (*vide* gorsety, obuwie i t. p.). Tak n. p. moda współczesna żąda przeważnie od piękności niewieściej czoła prostego, niezbyt wysokiego, szyi prostej i dostatecznie długiej (jakby do noszenia stojących kołnierzyków); ramion spadzistych, rąk szczupłych, pasa którýby można objąć dwiema rękami, bioder umiarkowanie wydatnych. Oczywiście, takiemu pojęciu piękności odpowiadać może nawet Amerykanka lub Angielka.

Rasowość nie zawsze bywa połączona z pięknością, choć w pojęciu rasowości mieści się nos regularny, broda wydatna, ręka delikatna, stan wysoki i szczupły, noga długa i wąska (rzeźbiarze nazywają takie nogi „nerwowemi“). Zdarzają się córy rodów bardzo starożytnych z rękami szerokiemi, palcami krótkiemi i płaskiemi, jak przystało na potomków pokoleń, władających swobodnie mieczami ze zbrojowni Podbipięty lub Juranda ze Spychowa.

Zresztą, niech sobie istnieją wzory egipskie, greckie, Leonarda da Vinci, Canovy! Nie to ładne, co ładne, ale to, co się komu podoba. Człowiek pomiędzy 20 a 30 rokiem życia widzi tylko młode modele wzorowe, zarówno nad Wisłą, jak nad Tybrem lub nawet Tamizą. „Kanon“ rzeźbiarski lub malarski nie będzie nigdy *ultima ratio*, boć i Venus z Milo znalazła krytyków. Jedna jest tylko piękność — mawiał Podkowiński — mianowicie zdrowie, i jedno tylko zdrowie, mianowicie młodość; jedna więc tylko piękność — młodość!

O szczęśliwa młodości!...

J. T...

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

POEZJE

WEZWANIE.

Kapłanko myśli, białoskrzydły duchu
Owiany w mgliste marzenia i śnicia,
Coś jest pochodnią w mrokach tego życia
Dla duszy, która czynów chce i ruchu,
Kapłanko myśli, białoskrzydły duchu —
Pójdź do mnie!

Ze szczytów górskich, ustrojonych śniegiem
Kędy lawiny lecą w dal bezdenną,
Z gwiazd przesłoniętych aureolą senną,
Z chmur zawieszonych nad urwistym brzegiem,
Ze szczytów górskich ustrojonych śniegiem —
Zejdź do mnie!

W noc księżycową, bladą, rozmarzoną,
Strojną w warkocze z blasków i półcieni,
W chwili gdy świt się lekko zarumieni
I snów oświeci sennej ziemi łono,
W noc księżycową, bladą, rozmarzoną —
Przyjdź do mnie!

W KNIEJI.

Hej hej!
W borze sosny szumią,
Nad kwiatami krąży złuda,
Czasem sarna przemknie płocha,
Czasem zając z krzaków skoczy...

Hej hej!
Coś się w sercu mroczy
Niby tęskni, niby szlocha —
Bo, choć będę śpiewać cuda
To mię ludzie nie zrozumią...

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

Do wszystkich tych wspomnień przyłączało się jeszcze inne, o *nim*, którego przy budowaniu tych zamków na lodzie widziała zawsze obok siebie, o *nim*, który tak często trzymał Jasia na ręku i objawiał szaloną radość, gdy malec wymachiwał nóżkami lub chwytał go za wąsy swemi małemi rączkami... a teraz, on nie wiedział nawet, że chłopczyk jęczący napół stłumionym głosem, leżał w łóżku i błagał swą nieszczęśliwą matkę o pomoc... On mógł go opuścić takiego chorego, poszedł i nie było go!...

Gdy służący, który przyniósł buteleczkę i zamówione przez doktora instrumenty, zapukał lekko do drzwi, Erminja drgnęła i powstała jak spłoszona, drżąc nerwowo. Przerażonym wzrokiem schwytanego ptaka patrzyła na buteleczkę i małe pudełeczko instrumentów, które Reudona trzymał w ręku.

Pani Ruscaglia oświadczyła, iż nie może się patrzyć na operację. Przyprawiłoby ją to o chorobę i dlatego też na wynik woli oczekiwać w salonie.

Gdy lekarz zbliżył się do łóżka, zatrzymała go matka, blada jak trup, za ramię.

— Doktorze, doktorze — wołała zrozpaczona, ale, jakby kurczem chwycona nie mogła przez chwilę ani słowa więcej wymówić. — Co pan chcesz robić? O...o...o... to będzie bolało!

— O nie, to naprawdę tylko drobnostka; odwagi pani Erminjo! Zobaczysz pani, że uratujemy dziecko. Pozwól mi pani tylko działać; jeżeli jednak jeszcze poczekamy z pół godziny, nie ręczę za nic.

— W takim razie... dobrze!... Śpiesz się pan... O święta Madonno! Gdzież ja mam głowę?... Nie ma ręczników... naczyń...

— Ależ uspokój się pani! Nie brakuje nic, potrzeba tylko, aby ktoś małego podniósł w górę.

— Przecież, ja tu jestem! Jakto... ktoś? Któż inny mógłby potrzymać mego syna?

— Nie, pani najmniej! W stanie, w jakim się pani znajduje, mogłabyś pani stać się powodem mej niezręczności.

— W takim razie ja go będę trzymał — rzekł Carlo.

Przez chwilę patrzyła na niego Erminja jak obłąkana, a potem skinęła głową na znak zgody.

— Doktorze, błagam pana! Biedaczek cierpi tak okropnie, a przecież jeszcze taki mały! O święta Madonno! O mój Boże!

Z łkaniem wyrzucała urywane i bez związku słowa, załamywała ręce i chodziła dokoła Reudony i Carla, który tak trzymał dziecko, że światło na nie padało; grupa ta przyciągała ją do siebie, a jednak nie odważyła się do niej zbliżyć. Wzrokiem pełnym obawy śledziła najmniejsze poru-

szenia doktora, którego czynność zdawało się jej, że trwa wieki. Czuła coś w piersi, jakby ostre i straszne narzędzia lekarskie, których jeszcze nigdy nie widziała, przerzynały jej serce. Dziecko jęczało napół stłumionym głosem; nagle wydało z siebie ostry krzyk i Erminja przyskoczyła jak dzikie zwierzę.

— Połóż go pani znowu — rzekł lekarz spokojnie, ocierając instrumenty i chowając je do puzderka — sprawa poszła wyśmienicie.

Dzikim ruchem odebrała Erminja dziecko z rąk Carla, położyła je delikatnie na łóżku i wybuchnęła potem gwałtownym płaczem, który jej ulżył trochę.

Teraz weszła także pani Ruscaglia, jęcząc i płacząc, a doktor napróżno z wielkim wysiłkiem starał się przekonać obie kobiety, że wszystko poszło dobrze, że mogą mieć najlepsze nadzieje i że w chorobie nastąpi po północy zwrot na lepsze.

W istocie, mały zdawał się lżej oddychać. Erminja chodziła od łóżka do zegara i z powrotem i, od czasu do czasu stawała nasłuchując przy oknie, jakby czekając na kogoś, a potem zaczynała znowu chodzić.

Doktor przyrzekł, iż pozostanie do północy. Około pierwszej, pani Ruscaglia nie mogła ze znużenia utrzymać się na nogach i wszyscy prosili ją aby w ubraniu położyła się na łóżku. Erminja poszła z nią do pokoju sypialnego, a gdy stamtąd powróciła, spotkała we drzwiach Carla.

— Ciesz się Erminjo! Doktor powiada, że Jaś uratowany! Gorączka opada, śpi spokojnie i lekko oddycha.

Biedaczka zbladła i na chwilę straciła mowę. Zwróciła swoje wielkie oczy na kuzyna, drżała na całem ciele i nagle założyła mu ręce na szyję i wybuchnęła płaczem.

— Jakże ja ciebie kocham! — wołała, łkając.

*

Giorgio wczesnym rankiem powrócił do domu. Znalazłszy drzwi otwarte o tak niezwykłej porze i całą służbę na nogach, zadrżał; owładnęła nim ciężka troska, to też w wielkiem wzburzeniu pobiegł do pokoju swej żony.

Aczkolwiek dzień już zaglądał przez okna, lampa paliła się jeszcze; Carlo i Reudona siedzieli na kanapie, Erminja pochylała się nad kołyską, odwrócona plecami do drzwi. Usłyszawszy kroki wchodzącego męża, odwróciła się szybko, zobaczywszy go jednak, stanęła nieruchoma i bezsilna, usta jej zaczęły drgać boleśnie i nie mogła wymówić ani słowa; potem zaczęły się jej chwiać kolana i padła na stojący w nogach łóżka fotel. Carlo i Reudona, spostrzegłszy bladość Giorgia, przystąpili do niego, gdyż stanął przy drzwiach i nie miał odwagi iść dalej.

— Uspokój się tylko — rzekł do niego Reudona — najgorsze minęło. Tym razem wywinęliśmy się szczęśliwie i nie ma niebezpieczeństwa.

Giorgio zbliżył się do łóżka, jak człowiek, który niezupełnie jest panem swych członków. Z obawą spoglądał na śpiące dziecko, a potem drżącą dłonią ujął rękę żony. Ona rzuciła się nagle twarzą na łóżko i wybuchnęła głośnym, rozdzierającym serce płaczem.

— Bądź tylko spokojny, naprawdę już nic — mówił Reudona dalej. — Pozwól jej niech się wypłacze; to uzdrawiające przesilenie, które położy koniec długiemu naprężeniu nerwów.

Rozdział XV.

Sumienie Giorgia mówiło jednak inaczej. Jest coś — mówiło do niego — co go zniewala do unikania wzroku żony, co mu odmawia prawa pytania się o syna i co w obecności Erminji czyniło go niemym i zakłopotanym.

Zafrasowany wymówił kilka słów bez sensu i bez związku. Na szczęście byli obecni teściowa i lekarz, tak, że szczególne zachowanie się Giorgia uszło uwagi wszystkich.

Stan dziecka polepszył się znacznie w ciągu dnia; dodające odwagi zapewnienia doktora przywołały uśmiech na twarze rodziny i wypogodziły jej czoła.

Erminja zaczęła być spokojniejszą, ale skutki znużenia i wzburzenia zaczęły występować na jaw. Stawała się coraz bledszą, coraz więcej osłabłą, aż wreszcie udało się pani Ruscaglii namówić ją, aby się obok Jasia położyła do łóżka.

Doktor Reudona pożegnał się, aby poczynić wizyty swoim chorym, a gdy za nim poszedł i Carlo, zapanował w domu spokój. Słychać było tylko jak Giorgio, niespokojnymi krokami mierzył swój gabinet.

Przez kilka dni był naprawdę niezdrów, a nik tego nie przeczuwał. Delikatność zniewoliła go do troskliwego ukrywania tego wszystkiego, co cierpiał w tych długich, gorączkowych nocach, trapiony dręczącymi snami.

*

Od tego dnia zaczął się między męża i żonę wciskać jakiś nieokreślony chłód. Giorgio wchodził do pokoju żony i pozostawał tam dopóty, dopóki trwała wizyta doktora. Z wielką troskliwością polecał Reudonie, aby czuwał nad zdrowiem żony, silnie zachwianem wskutek ostatnich wydarzeń, a potem nie pokazywał się do wieczora.

Pogodna i pełna poddania się łagodność Erminji krajała mu głęboko serce i miał uczucie, jakby między nimi wznosiło się coś nieokreślonego, coś, co się chciało ukrywać, gdy mówiła do niego lub spoglądała mu w oczy. Najlżejsze życzenia swej żony spełniał z największą ochotą, z uprzedzającą grzecznością; gdy jednakowoż Reudona radził zmianę klimatu dla matki i powracającego do zdrowia dziecka i proponował, aby cała rodzina udała się do swego majątku pod Giarre, Giorgio oparł się stanowczo, nie podając jednak powodu tego oporu. Raz, gdy rzeczywiście jakaś ważna sprawa powoływała go do Giarre, oparł się i nie pojechał.

W Aci Reale także już więcej nie był Kilka razy dotarł aż do dworca, tu jednak, więcej niż kiedykolwiek w niezgodzie z sobą samym, zawracał. Brakowało mu odwagi ujrzenia znowu Naty — obawiał się.

Skazana na śmierć, stała przed jego oczyma z skamieniałym wzrokiem, trupiobladą twarzą, z gorzkim uśmiechem wyrzutu dokoła ust.

Z drugiej strony w głębi serca i na zewnątrz, w paplaninie świata i w spojrzeniach przyjaciół znajdował niejasne poczucie obowiązku, sprawiedliwości, honoru, słowem tego wszystkiego, co jakaś żelazna ręka złożyła na nim w chwili, gdy stanął na progu pokoju, w którym dziecko jego walczyło ze śmiercią, uczucie, które poznał wtedy po raz pierwszy w swojem życiu, a które napędziło mu do twarzy falę gorącej krwi.

Przyszła na niego skrucha i trzymała go w domu, pomimo panującej nad nim, niewytłómaczonej namiętności. Miał uczucie, że w tej nieznanej części jego widnokręgu jest coś, co go więzi i przyciąga. Z tem łączyło się przeczucie, że czeka go wieść o jakiemś nieszczęściu; gdy do jego pokoju wchodził niespodzianie służący z najzwyklejszem doniesieniem lub też odzywał się dzwonek, drgał nerwowo.

Prawie chwiejnym krokiem błądził po domu, starał się zająć czemś, wymyślał sobie bezzwłoczne sprawunki i chodził ciągle niespokojny.

Gdy Reudona zaczynał opowiadać o swoich chorych, powstawał, chodził po pokoju i siadał znowu, nie mówiąc ani słowa i patrząc na wszystkich jak nieprzytomny.

Gdy pewnego dnia złożyłem mu wizytę, wyszedł pod jakimś pretekstem z pokoju, oczekiwał mnie jednak przy drzwiach przedpokoju, gdy wychodziłem.

— Co słychać? — zapytał.

— Sądzę, że to, co zwykle — odparłem.

— Nie widziałeś jej znowu?

— Nie...

— A zatem nic nowego w hotelu?

— Nie, nic!

— Dziękuję — rzekł lekko drżącym głosem i głęboko wzdychając uścisnął mi rękę.

*

Powoli wśród codziennych zajęć opanowywała go myśl. nie znosząca nic obok siebie i ściskała mu serce Potem zamierało mu w połowie przemówienia słowo jakieś na ustach, a oczy jego patrzyły w próżnię jakby widziały powstającego w niej upiora. Często bywał niecierpliwy, szorstki i nierozsądny i protestował gwałtownie przeciwko temu, czego dawniej nie uważałby za godne jednego słowa.

Wszystkie pojęcia o dobrem i złem, o słusznem i niesłusznem mięszały się w jego umyśle i tworzyły dziki chaos. Gdy mówił, były to słowa surowe, jakby mu wypływały z serca w nieokiełznanych napadach goryczy i gniewu. Gdy widział Erminję na pozór tak spokojną i pełną poddania się. budził się w nim głuchy gniew na ten pogodny spokój, który zdawało się nic jej nie kosztuje, a natomiast zaostrza jego ukryte cierpienia — gdyż zazdrościł jej spokojnego sumienia, aczkolwiek pytał się sam siebie, czy spokój bez walki jest wiele wart Ale ten wielki, niezmienny spokój czystego sumienia był mu także wyrzutem z powodu jego własnego gorączkowego niepokoju. Napawał go obawą i podczas gdy zazdrościł swej żonie, nie mógł jednocześnie nie podziwiać jej, a w chwilach największych cierpień odczuwał coś, co było bardzo podobnem do nienawiści.

Gdyby mógł był przeczuwać, ile ten pełen zaparcia się spokój kosztuje biedną Erminję!

Z dziwną przenikliwością kobiety odgadła wszystko.

Przyjaciele Giorgia uważali za swój obowiązek opowiedzieć jej kiedy niekiedy jakąś historyjkę z życia jej męża, a szczególnie legendę o willi Principe Amadeo; Giorgio zaś był w gruncie rzeczy za uczciwy, aby mu się udało ukryć zupełnie wszystko, co cierpiał.

Z początku była młoda kobieta zdumiona. Osamotnienie, w którem przebyła okrutne doświadczenie tej nocy, gdy dziecko jej walczyło ze śmiercią, napełniło ją obawą. W zmienionem postępowaniu męża, w jego zakłopotanem i lękliwem obchodzeniu się z nią, w jego częstem roztargnieniu, w tych oczach, które unikały jej wzroku i zdawały się zawsze szukać czegoś innego: wszędzie i zawsze widziała przed sobą to smutne osamotnienie nawet w najdalszej przyszłości. Czuła się opuszczoną.

Gdy patrzyła na powracające do zdrowia dziecko, ściskało się jej kurczowo serce, gdyż wydawało się jej ono sierotą, a niekiedy pieszczoty ojca dotykały jej poczucie delikatności; odpychały ją, jakby były wyżebrane; rumieniła się.

Od tego dnia w którym pozostała z nim sama w powozie, uwożącym ją szybko od matki, rodziny i wszystkich miłych wspomnień. obdarzyła całą swą miłością człowieka, którego przed kilku miesiącami jeszcze wcale nie znała, w którego ręce jednak złożyła cały swój los przyszłych dni, a teraz — przeczuwała to instynktownie — otworzyła się między nimi przepaść, rozszerzająca się z każdą chwilą.

Teraz, gdy czuła, iż ten człowiek oddala się od niej coraz więcej i więcej, odczuwała ten sam niepokój, to samo zafrasowanie, tę samą potrzebę przyczepienia się do czegoś która ją zniewoliła do uchwycenia się jego ramienia.

Teraz jednak uczucie osamotnienia było więcej gorzkiem i napawało ją większym strachem. zaostrzonym kiedy niekiedy niejasną obawą, obrazami i wspomnieniami, które zniewalały ją do marzeń z otwartemi oczyma, które oblewały twarz jej rumieńcem i podczas długich, spędzanych w milczeniu godzin w jej pokoju samotnym, pędziły jej gorące prądy przez nerwy i budziły ją raptownie ze snu.

Nie miała odwagi skarżyć się. Zazdrośnie ukrywała swoje cierpienia, nie w poczuciu obrażonej godności, lecz ponieważ odczuwała potrzebę tego, z czego nie mogła sobie zdać sprawy i ponieważ sama przed sobą nie śmiała się przyznać do całej prawdy. A co jeszcze było boleśniejszem: ten mąż, który z dnia na dzień nietylko coraz więcej zamykał przed nią serce, ale także nie obdarzał jej ufnością, nie był wobec niej otwarty i nie miał dla niej żadnego uśmiechu, ten mąż napawał ją lękiem i stawał się dla niej już nie obcym, ale władcą.

*

Od owej nocy, w której po raz pierwszy tak cierpiała, jak nie uważała tego za możliwe podczas najcięższych przykrości panieńskich, znękane jej serce kobiece rozwinęło się silniej ze względu na wrażliwość, poczucie delikatności i wszystkie skarby miłości, niż to były w stanie uczynić pierwsze wrażenia życia, szczęścia i miłości, silniej nawet, niż uczyniło to pierwsze uczucie szszęścia macierzyńskiego, które zbudziło się przy pierwszym, lekkim krzyku dziecka — tej nocy Giorgio nie był przy niej. myśl jej bała się dociekać, gdzie był.

Jednakowoż było tylko naturalnem, że odczuwała tem większą wdzięczność, szczerszą i głębszą przyjaźń dla kuzyna Carla, który cierpiał z nią razem, gdyż w tym czasie, gdy wszystkie jej myśli skłębiły się i pociemniały, wydawało się jej, że cały świat musi tak cierpieć jak ona.

Pierwszy wybuch jej wdzięczności był dla tego gwałtowny i jak zawrót przeszedł z jej serca do głowy, tak, że zadrżała wszystkimi nerwami swej istoty.

Od chwili, gdy zarzuciła ręce na szyję kuzyna, jakby on był wybawcą, unikała instynktownie znalezienia się z nim sam na sam. Skłonność, jaką czuła dla niego i odczuwała zawsze, zaczęła ją — czuła to — niepokoić po raz pierwszy, tak, że się zarumieniła, gdy go znowu zobaczyła.

I Carlo zdawało się, nie jest tym samym co dawniej. Długie kwadranse bawił się w milczeniu swemi rękawiczkami lub frendzlami kanapki, podczas gdy pani Ruscaglia rozmawiała z córką, albo też Erminja zasypywała swego malca pieszczotami. Jego wesoły humor, uśmiech bez troski, swoboda młodzieńcza — wszystko zniknęło. O rzeczach, którebу mogły wywabić z komórek pamięci tom poezji Pratiego lub żółty pokoik, nie mówił więcej, jak również nie wspominał o swoim odjeździe, ale za to myślał o nim coraz częściej.

Kilka razy, gdy Erminja albo Giorgio wypytywali go się o szczegóły jego podróży, wikłał się w opowiadaniu, a gdy przypadek zdarzył, że znalazł się sam na sam z kuzynką, powstawał z dziesięć razy, aby pójść i zostawał zawsze.

I on miał świadomość tej gorącej fali krwi, która mu przypłynęła do głowy, gdy po raz pierwszy po powrocie zobaczył kuzynkę.

Erminja sądziła, iż powinna mu być wdzięczną za to, że nie czynił prób czytania w jej sercu i ponieważ na pozór starał się unikać pozostania z nią sam na sam, coby ich oboje wprawiło w kłopot

— Kiedy powrócisz? — zapytała go pewnego dnia.

— Kto wie? Za dwa, trzy lata.

Smutek owładnął duszą Erminji na myśl, że może go już nigdy nie zobaczy.

— Ale powrócisz przynajmniej jako kontradmirał, prawda? — ciągnęła dalej w najlepszym zamiarze okazania się wesołą i zmuszenia go do uśmiechu.

Roześmiał się też, ale nie mówięc ani słowa, spojrzał jej przytem w twarz... Był to smutny uśmiech.

Zaniepokojenie Erminji zaczęło się jednak zmniejszać, gdyż w sercu jej budziła się znowu powoli wielka chęć życia, potężna, niespokojna i nieokreślona radość, miękkość, która od czasu do czasu krążyła po jej żyłach, uczucie rozkoszy, które nią owładało i usypiało ją powoli, kładło balsam na jej rany i cierpienia, zarzucało zasłonę na jej rozgoryczenie i ból, że widzi się opuszczoną przez męża, a nawet na obraz tego męża. Zdawało się jej, że odczuwa znużenie i potrzebę zapadnięcia w głęboki sen. Skąd to przyszło, nie wiedziała sama, a obawiała się badać źródła tego uczucia; była szczęśliwą, że go nie zna.

Gdy budziła się z niespokojnym i zmąconym umysłem, odczuwala żywe pragnienie zapadniecia znowu w przeszłość i znalezienia się w towarzystwie kuzyna, aby w myślach pójść za nim do tych odległych okolic jakie jej wyobraźnia widziała w różowem świetle.

Sądziła, że go lubi, ponieważ przy jego boku zdawały się powracać szczęśliwe i wesołe lata dzieciństwa. Widziała róże, które on zrywał w ogrodzie dla niej, czuła jeszcze niejedno uściśnienie jego ręki w żółtym pokoju, słyszała jego głos, jak przy małym stoliczku przy świetle wielkiej lampy przysłoniętej malowaną w kwiaty umbrelką, odczytywał jej poezje.

Ciąg dalszy nastąpi.

JAK POWSTAJE PAŃSTWO?

W dwutygodniku paryskim „La Nouvelle Revue“ znajdujemy godny uwagi artykuł p. A. Wodzińskiego pod tytułem „Comment naît un empire“. Autor jest dobrze znany czytającej publiczności. Stara się on od kilku lat szerzyć we Francji znajomość naszej historji i literatury, zamieszczając w „Nouvelle Revue“ artykuły poglądowe na temat ważnych wypadków politycznych i literackich. Są pomiędzy niemi prace zasługujące na szerszą uwagę, jak „Henryk Sienkiewicz“, „Bez dogmatu“, „Mickiewicz i Maryla“, „Barbara Radziwiłłówna“, „Jadwiga d'Anjou“ i t. d. Ostatnią z nich jest „Comment naît un empire“.

Państwem, o którem mówi autor, są Prusy, które w rzeczy samej przebiegły wcale niezwykłą drogę rozwoju i skutkiem sprzyjających okoliczności, i bezwzględności swych kierowników, z niczego wyniosły się na olbrzymią potęgę polityczną. Hr. Wodziński nie jest zawodowym historykiem. Nie chodzi mu o badania źródłowe, o wykazanie nowych, nieznanych szczegółów; czerpie on pełną dłonią z tego, co wydobyli na jaw inni historycy, i podaje na podstawie znanych powszechnie wiadomości barwny i dobitny obraz rozwoju państwa pruskiego, zatrzymując się tylko przy najważniejszych epizodach i zwracając szczególną uwagę na charakter powstającego państwa i jego mieszkańców.

Kolebka państwa pruskiego nie stała w ziemi niemieckiej. Była nią Jerozolima, gdzie rycerze i kupcy niemieccy podczas 3-ciej wojny krzyżowej założyli szpital i zakon pod wezwaniem N. Panny Marji. Po upadku Jerozolimy, członkowie nowego zakonu rycerskiego próbowali z różnem powodzeniem szczęścia we wszystkich krajach Europy, a nareszcie na początku XIII wieku znaleźli stałą siedzibę i pole działalności w ziemiach słowiańskich, oddanych im w dzierżawę przez ks. Konrada Mazowieckiego. Obejmując dzierżawę, zobowiązali się bronić go przed napadami dzikiego plemienia Prusaków i dzielić się z nim swemi zdobyczami.

Nie trwało długo, a rycerze krzyżowi okuli w kajdany niespokojny szczep słowiański, wydany im na pastwę, nawrócili go do wiary chrześcjańskiej i zamienili w swego pokornego sługę. I stała się rzecz niezwykła, pisze autor: „Ten okrutny i przebiegły naród w przyszłości nietylko swoją nazwę nałożył zwycięzcom, lecz przeniósł na nich nazawsze wybitne rysy swego charakteru. Przywykli oni szybko do nowych warunków bytu, zaciągani gromadnie pod sztandary teutońskie, i przywódcy Prusaków stali się najgorliwszymi i najstraszniejszymi obrońcami Zakonu“.

Mieszanina bezwzględności teutońskiej z okrucieństwem i przebiegłością podbitego szczepu słowiańskiego, złożyły się na wstrętny charakter przyszłego narodu pruskiego.

Zatknąwszy krzyż Chrystusowy na dymiących ołtarzach Słowian nadbałtyckich, zaczęli Krzyżacy oglądać się za dalszemi zdobyczami. Na południu mieli znajdujące się w zupełnem rozprzężeniu państwo polskie, na wschodzie pogańskich Litwinów. Nie namyślając się wiele, uderzyli na obydwie strony. Wprawdzie Polacy wyznawali już od wieków wiarę Chrystusową i słynęli swą pobożnością w Rzymie; wprawdzie rycerze krzyżowi, obejmując w posiadanie ziemie, nadane im przez Konrada Mazowieckiego, zobowiązali się popierać go i dzielić się z nim swą zdobyczą, ale cóż to wszystko znaczyło wobec widoków łatwego a obfitego łupu! Skargi i oszczerstwa, miotane przez nich na Polaków, osłabiły na Zachodzie ufność i wiarę w gorliwość religijną społeczeństwa polskiego... Korzystając z tego, zajęli Krzyżacy wbrew wszelkim umowom, szeroki szmat ziemi, aż pod Inowrocław i Brześć kujawski.

W pochodzie tym powstrzymał ich niespodzianie Łokietek zadając im straszną klęskę pod Płowcami. Po raz pierwszy spotkali się tam Krzyżacy, uważani za niezwyciężonych i rzeczywiście potężni, bo zasilani zbrojnym ludem rycerskim z całej Europy, z silniejszym nieprzyjacielem. Pod Płowcami też urodziła się nienawiść ich do Polaków, stanowiąca jedno z najwięcej charakterystycznych znamion państwa pruskiego.

Klęska ta na chwilę tylko zachwiała ich sławą i potęgą. I dalej garnęli się pod ich sztandary rycerze ze wszystkich dzielnic niemieckich, a nawet z całej Europy; potężni monarchowie poczytywali sobie za zaszczyt noszenie białego płaszcza z czarnym krzyżem: potęga ich wzrastała z dniem każdym i z dniem każdym odczuwały więcej nacisk pięści żelaznej: pogańska Litwa i znienawidzona Polska.

Nadszedł jednak dzień pomsty, niespodziewany, a straszny.

Litwa przyjęła chrześcjaństwo, oddając Władysława Jagiełłę Polsce za króla; dwa potężne państwa stanęły ramię przy ramieniu do walki ze wspólnym wrogiem. Nawrócenie się Litwy było dla Krzyżaków bolesnym ciosem, bo odebrało im odrazu pretekst do walki za wiarę chrześcjańską i możność dalszego rozszerzania swych granic. Nie powstrzymało ich to jednak w pragnieniu dalszych zysków. Zrzucili obłudną maskę rycerzy Chrystusowych, która stawiała ich tak wysoko w opinji Europy zachodniej i objawili otwarcie swój charakter zaborczy, chciwy zysków i łupów, nie przestając niepokoić zdobytych już dla chrześcjaństwa krajów. Dopóki żyła oddana im zupełnie Jadwiga, Jagiełło starał się ich oszczędzać. Po jej śmierci jednak, wybiła godzina odwetu.

W przepysznym obrazie przedstawia autor pamiętną bitwę pod Grunwaldem, w której złamaną została do szczętu potęga Zakonu. Wojska polskie, litewskie, czeskie i mołdawskie rozbiły w puch ich zastępy okute w żelazo. poległ mistrz wielki a z nim wielu komturów i dziesiątki tysięcy rycerzy. Po trzygodzinnej walce, resztki tylko pozostały z olbrzymiej potęgi krzyżackiej. Było to dnia 15-go lipca 1410 roku.

Sto piętnaście lat później na rynku w Krakowie ostatni mistrz krzyżacki, który zrzuciwszy z siebie szatę zakonnika, przedzierżgnął się w świeckiego monarchę, Albert z domu Hohenzollernów, ukląkł u stopnia tronu Zygmunta i ucałowawszy jego rękę, złożył mu przysięgę wierności, jako lennik i sługa. Przysięgał w imieniu własnem i w imieniu swoich następców, że jako wierny wasal będzie spełniał uczciwie wszelkie obowiązki względem swego królewskiego pana.

Na tym epizodzie urywa autor swoje opowiadanie i przystępuje do skreślenia obrazu obecnych stosunków w Prusach. A szkoda wielka. Nic nie charakteryzuje tak dobitnie i jaskrawo dróg, któremi kroczyli w pochodzie do potęgi kierownicy przedzierżgniętego w państwo świeckie Zakonu, jak polityka wielkiego Elektora za czasów Jana Kazimierza. Jestto najwstrętniejsza karta historji pruskiej i jedna z najwstrętniejszych w historji ludzkości. Trzeba było wykazać, jak Elektor wielki dotrzymywał przysięgi złożonej na rynku krakowskim przez swego poprzednika. Trzeba było zaznaczyć jak z podeptaniem wszelkich praw połączył się ze Szwedami i wytargowawszy na nich Prusy, zdradził ich z tym samym cynizmem, z jakim podniósł miecz przeciw swemu królowi, i dopomógł do ich rozbicia, aby w zamian otrzymać od Jana Kazimierza Prusy Książęce na własność. Fryderyk Wilhelm był najwybitniejszym przedstawicielem typu krzyżackiego, łączył w sobie wydoskonalone do najwyższego stopnia wszystkie rysy charakteru pruskiego; on też położył podwaliny do przyszłej potęgi Prus, jest właściwym twórcą tego państwa.

Hr. Wodziński nie wierzy, aby państwo zbudowane w taki sposób i takiemi środkami, miało przyszłość zapewnioną nazawsze. Walka pomiędzy światem germańskim a słowiańskim nie skończona; autor sądzi, że nadejdzie jeszcze chwila, kiedy, jak w bitwie pod Grunwaldem, wszystkie narody słowiańskie staną do rozstrzygającej walki z zastępami Niemiec i że wtedy ostateczne zwycięstwo będzie po stronie Słowian.

C. H.

Wiadomości artystyczne i literackie.

Nową operę: „Bezrobocie kowali" (libretto podług Coppego), skomponowaną przez Józefa Beera, przedstawiono w Berlinie — jak tamtejsze pisma donoszą — z powodzeniem.

Nowe książki. W Warszawie wyszedł w tych dniach zbiorek utworów poetyckich Władysława Karolego. — „Anegdoty z życia Adama Mickiewicza" zebrane i ułożone przez Jana Łubę wydał w małym ozdobnym tomiku, T. K. Naszeowski. — Nakładem księgarni Dubowskiego w Warszawie wyszedł obraz z życia wiejskiego Klemensa Junoszy p. t. „Za mgłą". — „Jesień" powieść Alfreda Konara wyszła z druku nakładem S. Lewentala w Warszawie. — „Złudzenie" opowieść z czasów ks. Józefa Poniatowskiego, napisał Aër. Warszawa 1898. — Poruszymy z posad ziemię" powieść Jokaja, przełożyła A. Callierowa. Warszawa 1898.

Cenzura krakowska. Dwie interesujące nowości przygotowywane przez teatr krakowski na b. m., a mianowicie: „Idealna żona" Marka Pragi i „Wolny stan" Darmanna, wycofane zostały z prób, z powodu cenzury teatralnej. Obie sztuki były niedawno grane w Wiedniu z wielkiem powodzeniem.

Scena krakowska zamierza wystawić komedję francuską z XVIII w. p. t. „Le jeu de l'amour et de hasard" przez Marveaux. w tłumaczeniu Sarneckiego.

Przekłady. „Syn oteczestwa" zamieścił w odcinku artykuł p. Skabiczewskiego o Orzeszkowej, z powodu ukazania się rosyjskiego przekładu: „Z pożaru". Autor nazywa tę pracę naszej powieściopisarki „jednym z najpiękniejszych utworów, jakie świat wydał w r. b.". — Poezje Tetmajera wyszły w tłomaczeniu czeskiem w wydawnictwie akademji czeskiej: „Slovnik svetovej poezyi".

„Goplana" Żeleńskiego ma być wystawiona w lutym 1899 w Pradze w teatrze czeskim.

Gramatyka polska dla Serbów. P. Radowan Koszuticz, poeta serbski, profesor języków słowiańskich w uniwersytecie belgradzkim, opracował dla Serbów gramatykę języka polskiego, która w ozdobnem wydaniu wyszła nakładem królewsko-serbskiej drukarni państwowej.

Kapelmistrzem nadwornej opery w Weimarze mianowano p. Krzyżanowskiego z Hamburga.

Wytawę obrazów otwarto dnia 20 b. m. w Poznaniu, staraniem tamtejszego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych.